

Sylwia Tulik

Kulig, szlichtada

Był późny wieczór. Dwór szykował się do snu. Dworska gospodyni Rozalia w bujanym fotelu drzemała przed dogasającym kuchennym piecem. Jej myśli bląkały się gdzieś między łakami dzieciństwa, a recepturą na ser jabłeczny, który sporządzała jej babka. – Jak ona to robiła, że zawsze wychodził tak smaczny? – myślała zasypiając. – Może dodawała specjalnych korzeni? A może jabłka były inne? Na pewno jabłka. W naszym sadzie jabłonki były okazałe i zdrowe. Ojciec był z nich dumny. Były kwaskowate sztetyny, kruche i soczyste kosztele, ze skórką żółciutką jak słońce – i renety. O, renety, te to były pyszne! Nie za kwaśne, długo się przechowywały, do późnej wiosny nawet, a owoce miały duże, jak niedźwiedzie łapy, jak łapy...

Nagle z drzemki wyrwał ją hałas na podjeździe. Parskanie konia. Błyski pochodni.

– Jest tu kto? Gospodarzu! Kulig jedzie! Kulig!

Na ganek wybiegł właściciel majątku, pan Ludwik. Rozalia narzuciła sfatygowany gruby wełniany szal i też wyszła przed dwór.

– Pochwalony gospodarzu. Za kwadrans, może dwa, będą. Szykujcie się. A tymczasem dajcie, gorzałki na rozgrzewkę. – Zwrócił się śmiało do pana Ludwika. Widać poprzednie gospodynie gorzałki nie żałowały. – Mróz dziś srogi, a i koniowi trza dać odpocząć, bom pędził...

Rozalia poznała jeźdźca. To zarządca sąsiadów, Zatorski. Porządny chłop, ale za kołnierza nie wylewa. – No jak się zjedzą dziś z naszym rządca... – pomyślała – znów nie będą wiedzieli, kiedy skończyć.

– W ile sań jadą? – krzyknął pan Ludwik.

– Sześć, panie. Zaczęli we Wieniawce, we trzy sanie. Tam goście jeszcze ode świąt, ludzi kupa. Potem nazbierali jeszcze. I wy się szykujcie, bo chcą jechać na Moroczyn. Przed świtem pewnikiem nie wrócicie. Ale, jak kulig, to kulig! Hajda!

Pan Ludwik rozporządził nakarmić konia, a fornala ugościć. Pokręcił głową i zwrócił się do Rozalii:

– Jak kulig, to kulig. Taka tradycja – wzruszył ramionami i poszedł uprzedzić żonę.

Uh! Gość nie w porę gorzej Tatarzyna! – pomyślała Rozalia. – Stasinek niezdrowszy, pani Marianna nie będzie kontenta z tej wyprawy. No, ale tradycja...

*Wróciła do kuchni. Przywołała, jak zawsze niezadowoloną, Krzyškę:
– Przynieś bigos ze spiżarni, podłóż pod piecem. Trzeba gości nakarmić. I napić. – ścisnęła w dłoni klucz od apteczki. Znow mi osuszają piwniczkę – pomyślała z niezadowolaniem.*

– A tego bigosu to dużo przynieść?

– No nie słyszałaś?! Sześć sań ludzi. Cały kamieniak przynieś, a potem pokrój chleb. Tylko cienko. Albo nie, daj, sama to zrobię, bo znow nakroisz pajd grubych jak lód na Naroczy.

Wzięła do ręki długi nóż i zrobiła na bochenku znak krzyża. Pokroiła chleb po mistrzowsku w równe cienkie kromki, takie w sam raz do bigosu. Nałożyła je równo w koszyku wyścielanym bielutką serwetą wykończoną mereżką i udała się w stronę jadalni, żeby nakryć stół.

– Tradycja! Niech ją...

Zmrokiem przyjechać kazał obyczaj, przy świetle kagańców i pochodni, isknęły się bryllantami okolice całe i lasy nastrzępione śniegiem, lub srebrem oblane; skrzypiały przemykające się lekko sanice; odzywał się z dala tentent koni, [...] brzęk dzwonek różnogłośnych, [...] odgłos muzyki...¹.

Najsłynniejszy polski kulig? Finałowa scena z filmu „Potop” Jerzego Hoffmana. Widział ją każdy Polak. Wspaniała zima, pędzące konie, miłość, szczęśliwe zakończenie i szczypta jowialnego humoru. Taki obraz sarmackiego kuligu, przefiltrowany przez wiek XIX i XX dostajemy. Ale czy to aby cała prawda o kuligu? Ostatnia scena filmu to przyjazd rozhulanego, głośnego towarzystwa do dworu. Opowieść filmowa się kończy, ale gdybyśmy w wyobraźni pociągnęli ją dalej... Z wielkim prawdopodobieństwem zobaczylibyśmy pijackie sceny rodem z innego filmu reżysera pt. „Ogniem i mieczem”.

Nie wiadomo właściwie od kiedy kulig, staropolska szlichtada, stał się ulubioną zimową rozrywką Polaków. Zabawa, mająca niewątpliwie dużo uroku i dająca wiele frajdy, wpisała się silnie w nasz obyczaj, co potwierdzają nie tylko pamiętnikarze, ale również literatura piękna i malarstwo. Pamiętamy te dynamiczne „Trójki” Wierusza-Kowalskiego czy Józefa Chełmońskiego – to właśnie bliższe lub dalsze odwołania do kuligu. Śmiem twierdzić nawet, że gdyby akcja Pana Tadeusza zahaczała o miesiące zimowe, Mickiewicz z pewnością opisałby staropolski kulig.

¹ Ł. Gołębiowski, *Gry i zabawy różnych stanów w kraju całym lub niektórych tylko prowincjach*, Warszawa 1831, s. 125.

„Nie można się było dziwić – powiada Łukasz Gołębiowski – że Polacy, będąc wytrzymali na mróz, posiadając długą zimę, nieraz doskonałą sannę i obfitość zbiorów spożywczych, a będąc przy tym gościnni i lubiąc wesołość, poświęcali cały przeciąg czasu od Bożego Narodzenia aż do początku postu wzajemnym odwiedzinom, szlichtadom i kuligom. [...]. Sama nazwa *kulik*, *kulig* jest dawną, może nawet piastowskiej sięgającą doby, a niełatwą do etymologicznego wytłumaczenia. Jedni przypuszczali, że pochodzi od wyrazu *kul*, *kulik* znaczącego wielki snop czegoś, a w danym razie kompanię zebranych sąsiadów. Inni wywodzili z czeskiego *koleg*. Bardzo być jednak może, iż ci mają słuszość, którzy twierdzą, że nazwa tej zabawy wzięła początek od *kuli*, to jest krzywej laski, *krzywuli*, którą jakoby w rodzaju wici obsyłano od domu do domu, zwołując *kulik* i oznaczając kolej, podług której zabawa ma się zaczynać, prowadzić, kiedy i gdzie kończyć”².

Żeby dobrze zorganizować kulig, należało wpierw powziąć plan działania. Po pierwsze, zdecydowano, skąd kulig ma wyruszyć, dokąd po drodze zajechać i u kogo się zakończyć. Wszystko planowano „w tajemnicy”, ale wiadomym było, że każdy okoliczny dwór kuligu się spodziewa, spiżarnię ma zaopatrzoną, a i w piwniczce nie brakuje beczulek ulubionego węgryzyna, nieodzownego do biesiadnych toastów. „Z muzyką ruszono zwykle w dom najpierwszy, gdzie dużo było dziewcząt albo gdzie je już zaproszono. Gdy zmrokiem przy świetle kagańców i pochodni, brzęku dzwonek i muzyki, skrzypieniu sani, tętencie i rzeniu koni, a często okrzykach i śpiewie biesiadników, przejeżdżano przez wioskę, wybiegały z ciepłych izb na mróz bosa dziewczęta wiejskie i dziatwa, aby przypatrzeć się kuligowi. [...] Ludziom i koniom dysponowano zaraz sutą gościnię i rozpoczęły się tańce, a wieś cała zbiegała się pod okna oświetlonego rześńście dworu, by podziwić się kuligowi i tak ulubionej przez lud polski muzyce tanecznej”³.

Szczyt popularności osiągnął kulig w XVII i w pierwszej połowie wieku XVIII, by stopniowo tracić na atrakcyjności i stawać się synonimem prostactwa. Cóż, epoka stanisławowska, bardziej subtelna i wyrafinowana, nie znosiła sarmackiego nieumiarkowania. Jakże wyglądałaby kosmopolityczna dama wciśnięta na saniach pomiędzy żydowskie cymbały a antałek z gorzałką?

W wieku XIX kulig jako synonim iście polskiej, narodowej zabawy powrócił do łask. Stracił jednak na impecie, wciąż krzywiono się na związane

² Z. Gloger, *Zabawy zimowe naszej przeszłości*, „Wędrowiec. Pismo Tygodniowe Ilustrowane” 1903; cz. I: nr 7, s. 129-132; cz. II: nr 8, s. 145-146; https://ksiaznicapodlaska.pl/site/gloger/t3/Rozdzial_XIV.pdf, dostęp: 07.06.2022, s. 686.

³ *Ibidem*, s. 687.

z nim pijaństwo i rozpasanie. Pozostał jednak okazją do manifestacji poglądów patriotycznych strojem i jawnym posługiwaniem się językiem polskim. Legendarnym był ten urządzony w połowie XIX wieku w Krakowie przez Sanguszków: „Wyruszył on z pałacu »Pod Baranami« do pałacu Sanguszków 14 lutego 1858 r. Uczestnicy przebrani byli w autentyczne stroje krakowskie, nawet pani Clamowa⁴, grająca do spółki z hr. Adamową Potocką rolę starościny. Mąż tej ostatniej pełnił funkcję starosty”⁵. Tak opisuje słynny krakowski kulig pamiętnikarka. Lecz ta beztroska, trwająca do białego rana zabawa, nie spotkała się z przychylnością władz austriackich. Z kolei komentatorzy emigracyjni krzywili się na towarzystwo krakowskie i zarzucali mu nadmierne bratanie się z zaborcą.

Z kuligiem wiązały się odpowiednie akcesoria, do których należały przede wszystkim końskie uprzęże, bogate, strojne, często wysadzone drogimi kamieniami oraz oczywiście sanie. Te, zdobione malunkami, nieraz rzeźbami, złocone, przypominały dzioby XVII-wiecznych okrętów. „Późnorokokowe szlichtadowe saneczki Marii Leszczyńskiej – jak określa je skomplikowanie fachowy katalog – zdobi tryton – pół człowiek, pół ryba, wyobrażony jako pyzate dziecko dmące w muszle z esowato wygiętym rozdwojonym rybim ogonem. Ich wygląd zobaczymy na fotografii Józefa Piotrowskiego z końca lat 20. XX wieku”. Jest jedną z wielu dokumentujących ówczesne zbiory Potockich w Łańcucie. „Były one jedynym pojazdem konnym ewakuowanym w 1944 roku przez ordynata Alfreda Antoniego Potockiego. Nie wiadomo, by po II wojnie trafiły do jakiejś kolekcji, nie odnotowane zostały także dotąd na rynku antykwarycznym”⁶.

Nieodłącznym elementem kuligu były muzyka i oczywiście, odpowiednio dobrane, rasowe, szybkie konie. Dla opisanego zaprzęgu posługiwano się słownictwem zaczerpniętym z gry w karty. Sanki jednokonne nazywano es (As), dwukonne – tuz, trzykonne – dryja, czterokonne to kwarta, a sześciokonne – zyz. W kuligu często jeździło się „szyldem” lub „w szpic”, to znaczy w cztery konie jeden za drugim. Bardzo paradny był zaprzęg sześciokonny, którego ko-

⁴ Augusta Clam-Martiniz (Martinic) (1833-1891), żona austriackiego gubernatora w Krakowie Edwarda Clam-Martiniza; podczas opisywanego kuligu, ku zdumieniu wszystkich, grała rolę starościny razem z Katarzyną Potocką (1825-1907), żoną hrabiego Adama Potockiego. Znana była jako „wyrocznia życia towarzyskiego”, w Krakowie w swoim czasie była kluczową postacią salonu „Pod Baranami”, miejsca, gdzie bywali najbardziej prominentni ludzie towarzyskiego Krakowa.

⁵ M. Estreicherówna, *Życie towarzyskie i obyczajowe Krakowa w latach 1848-1863*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1968, s. 56-57.

⁶ A. Cholewińska-Kruszyńska, *Łańcuciana ze zbiorów Fundacji Trzy Trąby i Fundacji im. Feliksa hr. Sobańskiego*, Muzeum-Zamek w Łańcucie, Łańcut 2019, s. 25.

nie były dobrane pod względem maści – był to cug maścisty. Jeśli konie były jednakowej rasy i do siebie podobne, mówiło się, że cug jest sprzęgły⁷. Był to jednak rzadko osiągalny ideał.

Cały zgiełk, blask, dynamikę kuligu oddaje opis tego, który urządziła królowa Marysieńka: „Tę ulubioną Polaków zabawę, to jest przejażdżkę zimową z rzadkim przepychem odbyto, dnia 20 stycznia 1695 r. w Warszawie. [...] O 3 z południa trębacze dali sygnał, i cały orszak wyruszył, jak następuje: 24 Tatarów konno ze służby królewicza Jakuba. Dziesięcioro sań po 4 koni jeden przed drugim, czyli jak zowią szydłem; na każdych sankach inna muzyka, to jest: żydzi z cymbałami, Ukraińcy z teorbanami, trębacze, fajfry, janczarowie zebrani z różnych dworów. Następowaly sanie, okryte perskimi kobiercami, albo lampartami sobolami i różnemi drogiemi futrami. Koni było u każdych sań po cugu, strojnych w pióra, czuby, kokardy, kutasy, na każdych saniach państwo, po kilka osób płci obojej, a około sań młodzież dworska konno. Takich ekwipażów było 107, trudno dać któremu z nich pierwszeństwo, bo wszystkie celowały doborem koni, kosztownością futer i liberyi, osobliwie hajduków. Na końcu były sanki w kształcie Pegaza; siedziało w nich 8 młodzieńców, którzy rozrzucali wiersze, ułożone już dawniej przez Ustrzyckiego i Chrościńskiego. Zamykał tę paradę oddział drabantów. Wszyscy goście zajechali naprzód do dworu Sapieżyńskiego, potem do xiężny Radziwiłłowej, siostry królewskiej, potem do wojewody Potockiego, do młodego xięcia Lubomirskiego, do pana kasztelana lubelskiego i do Ujazdowa. Gdzie tylko przybyli, zaraz gospodarz oddał klucz do piwnicy, a gospodyni od spiżarni. Każdemu z gości wolno było do uczęstowania brać wszystko podług woli. Wszędzie grała kapela, tańczono chwilkę i ruszono dalej. Ostatni zajazd był do Wilanowa, gdzie oboje królestwo Jchmość, byli gościom radzi z całego serca; częstowano wszystkich, a nawet służbę dworską; co trwało do późna”⁸.

Bardzo to piękne, lecz zazwyczaj rozbuchane alkoholem staropolskie towarzystwo, choć bezgranicznie gościnne, nie stroniło od bójek i kłótni. Również niepohamowane „opróżnianie piwniczki” gospodarza, wyjadanie zapasów i zniszczenia – choćby potłuczone puchary – nie należały do jasnych stron kuligu. Wyobrażam sobie jak wyglądał dwór po przejściu sąsiedzkiej szlichtady i minę gospodyni rozkładającej ręce w geście bezradności. Lecz cóż: tradycja to tradycja, szczególnie kiedy w domu są panny na wydaniu.

⁷ M. Witwińska, *Kuligiem przez trzy stulecia*, Książka i Wiedza, Warszawa 1961, s. 106.

⁸ Ł. Gołębiowski, *Gry i zabawy różnych stanów w kraju całym lub niektórych tylko porwincyach*, Warszawa 1831, s. 122.

Kto, mimo jego wad, darzy kulig bezwarunkowym sentymentem, może pójść za radą Biruty Markuzy-Bienieckiej i współcześnie stworzyć zabawę na kształt kuligu. Autorka, znakomita znawczyni dawnych obyczajów, malarka i twórczyni scenografii filmowych, chociażby do „Doliny Issy” Konwickiego, proponuje by „skrzyknąć się” i zorganizować kulig towarzyski: „Umawiamy się zatem w kilka par (Kowalscy, Zielińscy, Iksińscy, Jankowscy), że spędzimy razem karnawałowy wieczór i noc. Zasadą jest, że w każdym domu, biorącym udział w zabawie, będzie przygotowane jakieś specjalne danie i podane w sposób niebanalny. [...] Ale zabawa dobrze pojęta nie może się przewlekać i hasło „zmieniamy lokal” nie będzie w tym przypadku nietaktem, bo właśnie jest przewidziane w naszym planie. A więc, gnani ciekawością, co tam przygotowano w następnym domu, i uzasadnioną chęcią oddechu świeżym powietrzem, udajemy się do państwa Zielińskich. [...] Ten rodzaj spotkania towarzyskiego ma dużo zalet: przede wszystkim zrywa ze zwykłymi niasiadówkami z zastawionym stołem, nie obciąża jednej tylko gospodyni i co najważniejsze – zapewnia urozmaiconą rozrywkę, którą długo można wspominać”⁹.

Podoba się? Mnie bardzo.

Sylwia Tulik-Fąfara jest malarką, autorką książek i artykułów o porcelanie i porcelanie w farmacji. Interesuje się kulturą materialną XIX wieku i dwudziestolecia międzywojennego. Absolwentka Kierunku Edukacja Artystyczna Uniwersytetu Rzeszowskiego. Jest autorką książek, m.in.: „Alfabet Kańczucki według księdza Jana Kudły” (2017), „Porcelana Rosenthal. Przewodnik kolekcjonera” (2016 i 2019), z dr Lidią Marią Czyż „Aptekarskie Silva Rerum czyli subiektywny słownik farmaceutycznych tajemnic” (2018) oraz „Zielarstwo na terenie Podkarpacia według prac Franciszka Kotuli” (2022). Była stałym współpracownikiem Polskiego Radia Rzeszów współtworząc Magazyn Literacki Polskiego Radia Rzeszów, współpracowała z pismem historycznym „Podkarpacka Historia”, a także „Farmacją Polską” i „Czasopismem Aptekarskim”. Od 2019 roku uczy edytorstwa, projektowania publikacji i historii sztuki w Zespole Szkół Ekonomicznych im. Marii Skłodowskiej-Curie w Rzeszowie.

⁹ B. Markuza-Bieniecka, *Przyjmujemy gości*, Wydawnictwo Watra, Warszawa 1987, s. 110-111.